

Świetna, warta uwagi seria – jeśli jeszcze nie mieliście okazji jej poznać, to zachęcamy gorąco po sięgnięciu po wszystkie cztery tomy. Z pewnością będziecie – tak jak i my – czekać na ostatni, piąty, przybliżający młodym czytelnikom najbliższe nam czasy.


Kobietnik – inna bajka

Walka o wolność – 10 opowiadań z czasów rozbiorów to czwarta książka z serii „Zdarzyło się w Polsce”. W pięciu tomach współcześni autorzy książek dla dzieci i młodzieży, pasjonaci historii, ukazali węzłowe punkty polskich dziejów widziane oczami zwyczajnych ludzi: mieszkańców miast, dworów i wsi – naszych przodków.

*Za ich sprawą czytelnik Walki o wolność przeniesie się w czasy, gdy Polska została wymazana z mapy Europy, lecz wciąż żyła w sercach ludzi, będzie towarzyszył Napoleońskim żołnierzom, powstańcom styczniowym i rewolucjonistom. Usłyszy pierwszy koncert ośmioletniego Fryderyka Chopina, zobaczy Adama Mickiewicza piszącego *Dziady* i Marię Skłodowską walczącą o prawo do edukacji kobiet.*

Książki z tej serii dedykujemy tym, którzy cenią i lubią historię, oraz tym, którzy... za nią nie przepadają! Dzięki nim przekonają się, że historia Polski jest barwna i ciekawa, pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji i trzymających w napięciu, dramatycznych wydarzeń.

W zbiorze znajdują się opowiadania historyczne Grażyny Bąkiewicz, Pawła Wakuły i Kazimierza Szymeczki.



GRAŻYNA BĄKIEWICZ

Czerwowa Łódź

REWOLUCJA 1905 ROKU

Alek otworzył jedno oko i lekko uniósł głowę. Nasłuchiwał. Przez otwarte okno nie dobiegały żadne dźwięki prócz delikatnego szumu wiatru. Zwykle o tej porze słychać stukot trepów na bruku, gwar rozmów, pobrzękiwanie blaszanek. Dzisiaj nic. Cisza. Dziwnie złowieszcza, można powiedzieć – grobowa.

Gdzieś z daleka dotarła seria stłumionych kłaśnieć. Czyżby strzały? Nie, to tylko trzask okiennicy potrąconej przez wiatr. O, znowu! Tym razem to podłoga skrzypiąca pod ciężarem dziadka, który gramolił się z łóżka.

– Wstawaj do roboty! – usłyszał Alek. – Już świt!

– Jeszcze nie gwizdali – mruknął i odwrócił się na drugi bok.

O świcie w całej Łodzi wyją bucuki i świstawki fabryczne, przyzywające robotników do pracy. Ale dzisiaj próżno ich czekać. Świstu nie będzie. Dziadek też o tym wiedział, a mimo to zrzucił z Alka koc.

MARIA SKŁODOWSKA-CURIE
ODKRYWA POLON I RAD

1898

– Nie ma dzisiaj roboty, dziadku – jęknął chłopak. – Przecież od miesiąca fabryki są zamknięte.

– I z czego będziemy żyć?

Alek skrzywił się. Sam zadawał sobie takie pytanie i nie znajdował na nie odpowiedzi. A jeśli martwił się, to nie o siebie, tylko o dziadka. Bieda zaczęła się kilka miesięcy temu. Nie, to nie tak. Bieda była zawsze, ale prawdziwe nieszczęście zaczęło się w styczniu, gdy ktoś przyniósł do fabryki gazetę z artykułem o masakrze robotników w Petersburgu.

– Do naszych strzelają? Do biedaków? – spytał ktoś i te słowa wcale nie były buntownicze, raczej pełne rezygnacji, i chyba dlatego tak zaboląły.

Tysiąc ofiar! To co, że ruskich? Poszli po pomoc do cara, bo umierali z głodu, a on kazał do nich strzelać!

– Wczoraj do nich, jutro do nas – powiedział ktoś i ta myśl sprawiła, że w ludziach coś się przelało.

Trzy dni później rozpoczął się w Łodzi strajk. Pracę porzuciło dziesięć tysięcy robotników. Tak po prostu, jakby wszystkim naraz odechciało się walczyć o przetrwanie.

– Niech się dzieje, co chce!

Dzień później strajk objął cały łódzki okręg przemysłowy i odeszło od maszyn około siedemdziesięciu tysięcy robotników. Miasto liczyło trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, więc skala protestów była niespotykana. Strajkował prawie każdy zdolny do pracy. Przyłączyli się rzemieślnicy, sklepikarze, tramwajarze, dorożkarze, kolejarze, drukarze. Zamknięto sklepy, restauracje, teatry, przestały wychodzić gazety.

– Czego wy chcecie? – pytali fabrykanci.

– Żądamy ośmiogodzinnego dnia pracy, ubezpieczenia od wypadków, emerytur, bezpłatnego leczenia, prawa do urlopu i zakazu zatrudniania dzieci. Dzieci powinny uczyć się w bezpłatnej szkole, i to po polsku, a nie po rosyjsku.

Fabrykanci wysmiali robotników. Tylko nieliczni zgodzili się na ustępstwa, których i tak nie dotrzymani.

Alek wygramolił się spod koca i otworzył szerzej okno. Cisza rozlewała się po mieście, jakby to była niedziela, a nie środek tygodnia. Chłopakiem wstrząsnął dreszcz. Nie z zimna, bo to przecież czerwiec, tylko w przeczuciu tego, co wkrótce nastąpi.

– Za moich czasów tego nie było – zrzędził dziadek. – Żeby do roboty nie chodzić? Kto to słyszał?

Dziadek był stary. Już nie mógł pracować, bo maszyna ucięła mu nogę, ale śmierć nie chciała po niego przyjść. No i dobrze, bo Alek miał przynajmniej jego. Lubił słuchać opowieści dziadka o jego młodości, gdy Łódź nie była większa od wsi. Z jakiegoś powodu to ją rząd wskazał jako miasto fabryczne i ośrodek włókienniczy, który miał się rozwinąć w Królestwie Polskim. Nikt wtedy nie spodziewał się napływu tak ogromnej liczby osadników. Owszem, liczone, że przyjadą jacyś tkacze i zbudowano dla nich kilkanaście domów, a burmistrz miał nadzieję, że nie wydano pieniędzy na próżno. Jakież było zdumienie, gdy przybyło kilka tysięcy osadników i ciągle napływali nowi. Wkrótce zaczęto liczyć ich w setkach tysięcy. Pod nowe działki karczowano puszcę łódzką. Ratusz, który niedawno stanął na Nowym Rynku, okazał się za mały na potrzeby

rosnącego w takim tempie miasta. Tkacze budowali parterowe domki i warsztaty i od razu zaczynali produkcję, bo zbyt na wyprodukowane przez nich tkaniny był ogromny. Wkrótce powstała pierwsza fabryka, a potem już trudno było nadążyć z ich liczeniem.

Alek usłyszał dźwięk trąbki strażackiej. Gdzieś coś się paliło. Czyżby to już?

– Polecę zobaczyć!

– Tylko głupoty jakiej nie zrób – mruknął dziadek. – I postaraj się o parę kartofli.

– Spróbuję, dziadku.

Pieniądze i zapasy skończyły się już dawno. Pożyczyć nie było od kogo, bo nikt nic już nie miał. Nawet ukraść nie było czego i gdzie.

Alek zarzucił koszulę na grzbiet, zatrzymał się na moment na progu i popatrzył na niebo, poprzecinane niezliczoną ilością kominów. Dzisiaj wyglądały inaczej niż zazwyczaj. Nie leciał z nich dym i ta martwota sprawiała, że były niemal przerażające.

– Jak ustawione na sztorc bagnety karabinów – mruknął do siebie Alek.

Wszłuchał się w cichnący dźwięk trąbki straży ogniowej i ruszył za nim. Nie chodziło mu o pożar, bo widział już niejednego. Po prostu nie miał nic innego do roboty i chciał sprawdzić, czy dzieje się w mieście coś godnego uwagi.

Szedł po wymarłych ulicach, zerkając na mijane sklepy, kantory, szynki, składy. Wszystko pozamykane było na cztery spusty. Przez okna małych, drewnianych domów widział warsztaty tkackie,

ale nie słyszał ich codziennego klekotu. Nie mógł słyszeć, bo stały nieruchome. Bramę fabryczną zastał oczywiście zamkniętą na głucho. Za żelazną kratą wznosiła się potężna budowla z czerwonej cegły, z dwoma wieżami po bokach i ogromną ilością okien. Pracował tu od dwunastego roku życia po dwanaście godzin dziennie, a zdarzało się, że i po czternaście. Pensja, jaką za to dostawał, ledwo starczała na chleb. Teraz jednak nie miał nawet tego, bo łódzkie fabryki w maju zostały zamknięte.

Alek minął fabrykę i pobiegł dalej, przeskakując przez nigdy niewysychające kałuże. W Łodzi nie było kanalizacji, a brudy płynęły rynsztokami. Byle deszcz sprawiał, że tworzyły się bajory, w których ludzie tonęli po kolana, a naładowane bawełną furgony grzęzły po osie. Im bliżej centrum, tym więcej było pięknych kamienic. Z każdym rokiem Łódź bogaciła się o kolejne. Ci, co się dorobili majątku, wznosili pałace na miejscu parterowych domów. Starali się przy tym, by ich domy wyróżniały się od sąsiednich bogactwem ozdób, bo to świadczyło o stanie majątkowym. Partery przerabiali na sklepy, a mury pokrywali szyldami w pięciu językach – polskim, rosyjskim, niemieckim i jidysz oraz obrazkowym, dla analfabetów, czyli dla większości.

Turkot kół po kocich łbach zahuczał niczym grzmot. Alka minął kolejny wóz straży ogniowej. Strażacy wieźli pompę ręczną i beczki wody. Jechali w stronę Piotrkowskiej.

Chłopak przyspieszył kroku.

A gdy dotarł, zdziwiła go cisza i pustka. Bo to niezwykle w miejscu, gdzie zawsze panuje gwar. Gdzie od świtu toczą się tu

wozy załadowane węglem i belami bawełny, przemykają lakierowane powozy, dorożki, środkiem jezdni jadą tramwaje, a brzegiem podążają żydowscy tragarze z ładunkami na plecach. Gdzie chodniki zapchane są gosposiami z koszami, brodatymi Żydami w długich, czarnych chałatach, Żydówkami w aksamitach i perukach, elegantkami w wielkich kapeluszach, ulicznymi handlarzami oferującymi wodę sodową i chałwę, żebrakami domagającymi się jałmużny.

Tak jest zwykle, ale nie dziś. Dzisiaj nie było nawet demonstrantów, choć od kilku miesięcy bywa tu czarno od tłumy skandującego hasła: „Domagamy się poprawy warunków pracy! Domagamy się swobód demokratycznych, zaprzestania rusyfikacji i wolności dla Królestwa Polskiego!”. Od wiosny do buntu dołączyli uczniowie, bo w łódzkich szkołach zaczął się strajk przeciwko rusyfikacji: „Domagamy się polskiej szkoły!”. Początkowo demonstracje przebiegały spokojnie, a policja rozpręczała je bez użycia broni. Fabrykanci dla uspokojenia emocji skrócili czas pracy do dziesięciu godzin i podwyższyli płace. Robotnicy wrócili do pracy, uczniowie do szkół, ale spokój był pozorny. Nowa fala protestów rozpoczęła się w maju, po tym, jak Kozacy zastrzelili robotnika przed zakładami Grohmana. Od tej pory strajki nie ustawały. W końcu fabrykanci ogłosili lokaut, czyli zamknęli fabryki, licząc, że głód zmusi pracowników do rezygnacji z postulatów. Ale w Łodzi głód już od dawna był codziennością i nie można nim było nikogo zastraszyć.

W końcu Alek zobaczył ludzi.

Niewielka gromada patrzyła na palącą się fabrykę. Płomienie sięgały nieba, a kłęby bawełny strzelały w górę, przelatowały nad

gapiami i spadały na dachy sąsiednich domów. Ludzie stali w ciszy, nie kwapiąc się do pomocy. Pracowali tylko strażacy, po dwóch z każdej strony pompy ręcznej. Ciśnienie wyrzucało strumień wody z sikawki aż na dach, jednak ogień rozbestwił się na dobre i wiadomo było, że braknie przywiezionej wody. W Łodzi nie było wodociągów, korzystało się ze studni. To jedyne wielkie miasto w Europie, które nie miało zaopatrzenia w wodę.

No i skończyła się.

– Sprawdźcie, gdzie są najbliższe studnie!
– wołali strażacy, ale nikt się nie ruszył.

I tak wiadomo, że wszystkie pozamykane są na kłódki. Zresztą nie było nikogo, kto współczułby właścicielowi.

– Jak nic sam podpalił – szeptano.

Fabrykant stał wśród tłumy i ze spokojem patrzył na szalejący żywioł. Nawet nie próbował udawać smutku. W pobliżu stała już nowa fabryka, jasne więc, że stara musiała się spalić. Premia asekuracyjna zwróci mu z nawiązką straty. Chyba że towarzystwo ubezpieczeniowe udowodni umyślne podpalenie, za co grozi nawet kara więzienia. Ale kto mu to udowodni, wolne żarty!



Widząc, że fabryki nie da się uratować, komendant straży kazał resztę wody lać sikawkami na dachy sąsiednich domów. Z budynku została tylko skorupa pustych, poczerniałych murów.

Koniec widowiska.

Ludzie rozchodzili się. Alek też zbierał się do powrotu, gdy nadbiegł ktoś z wiadomością, która zelektryzowała tłum.

– Na Widzewie się biją – podawano sobie z ust do ust.

A więc zaczęło się! Zaczęło! Wybuchło powstanie, które było wyładowaniem gniewu gromadzącego się od lat.

Alek aż westchnął.

Wiedział, że tak będzie. Wszyscy wiedzieli, że ktoś gdzieś nie wytrzyma i rzuci hasło, na które inni tylko czekają. Spokój już od paru dni wisiał na włosku, po tym, jak w niedzielę, 18 czerwca, po zabawie w lesie łagiewnickim wracających robotników zaatakowali Kozacy. Zabili pięć osób, ot tak, bez powodu. Ale nie to stało się punktem zapalnym. We wtorek pogrzeb ofiar zamienił się w wielką manifestację. W pochodzie szło pięćdziesiąt tysięcy ludzi, ale i on przebiegł spokojnie. W środę rozeszła się po Łodzi wieść, że dwóch Żydów ranionych na Bałutach zmarło, ale ciał nie wydano rodzinom. Policja pochowała je nocą w bezimiennych grobach ze strachu przed kolejną manifestacją. I dopiero to przelało czarę goryczy. Trudno powiedzieć, dlaczego akurat to wydarzenie przeważało. Może do trzech razy sztuka? A może gniewu było już za dużo i ludzie zapalali żądzą odwetu?

W każdym razie w Łodzi zawrzało.

Jeszcze tego samego dnia ulicami miasta przeszedł stutysięczny tłum. Szli wspólnie Niemcy, Polacy i Żydzi. Patrole wojskowe

i policyjne kręciły się w pobliżu i wydawało się nawet, że i tym razem wszystko przebiegnie spokojnie. Ale przy zbiegu ulic Piotrkowskiej, Karola i Pustej (dzisiejszymi Żwirki i Wigury), wojsko kozackie zaatakowało. Żołnierze oddali salwy do bezbronnego tłumu. Rozpoczęła się rzeź. Dwudziestu jeden manifestantów padło zabitych. Tłum rozbiegł się w panice.

To było wczoraj.

Stąd ta cmentarna cisza panująca w Łodzi od samego rana. Cisza przed burzą.

Dziś był czwartek, 22 czerwca 1905 roku.

Pierwsi ruszyli widzewiacy.

– Co się dzieje? – dopytywali wszyscy, a Alek nadstawiał uszu.

– Doszło do starć – opowiadał chłopak w mundurku gimnazjalisty. – Kilkuset robotników ruszyło na oddział kozacki. Uzbrojeni tylko w żerdzie wyrwane z płotów dali radę Kozakom. A ci zostawili rannych kolegów i uciekli.

–!

– Nie ma się co cieszyć, bo wkrótce przybędzie tam karna ekspedycja – uprzedził chłopak.

– No to trzeba im ruszać na pomoc.

– Dadzą radę – wrzuszył ramionami gimnazjalista. – Jest tam masa ludzi i już stawiają barykadę.

– Więc i my je budujemy, to odciągniemy część sił.

To była dobra myśl i ludzie rozbiegli się, a w ciągu kolejnych godzin niemal na każdej ulicy pojawiły się barykady. Nikt nie miał doświadczenia w prowadzeniu ulicznego boju i działania były czy-

sto intuicyjne, ale pełne zapału. Przewracano słupy telegraficzne, wywracano wozy, rozbijano państwowe sklepy monopolowe, a szafy i bufety wyciągano na ulice. Znoszono meble, pudła, bele, beczki, skrzynie. Barykady miejscami sięgały dziesięciu metrów wysokości. W całej Łodzi zbudowano ich ponad sto.

Alek przyłączył się do jednej z grup. W pracy brali udział mężczyźni, kobiety i dzieci. Szczególnie chłopców wszędzie było pełno. I to nie tylko robotniczych, ale i z lepszych rodzin. Gimnazjalista, który przybiegł z informacją, też pracował, chociaż miał wątpliwości, czy taka barykada w razie ataku wytrzyma napór wojska.

– Taka sterta byle czego nie uchroni nikogo przed niczym – mówił, ale nie słuchano go.

Alek też podejrzewał, że barykady ustawiane naprędce mogą nie być wiele warte, więc powiedział do chłopaka:

– Mój dziadek będzie wiedział, jak to się robi.

– Niby skąd? – spytał tamten.

– Służył w rosyjskiej armii i wie różne rzeczy – wyznał Alek.

– To chodźmy do niego – zaproponował gimnazjalista, zostawiając krzesło, które niósł na barykadę.

– Ale mieszkamy na Księżym Młynie.

– Tam też pewnie wznoszą jakąś barykadę – powiedział chłopak, otrzepując ręce. – Mam na imię Karol, a ty?

Alkowi do głowy wcześniej nie przyszło, że i jego sąsiedzi, i koledzy mogą robić to samo, co i tutaj. Otrzepał ręce, gotów był od razu wracać i wspomóc swoich.

– Alek – przedstawił się. – Biegnijmy!

Rzeczywiście. W całym mieście wznoszono barykady i chłopcy musieli nadrabiać drogi, by dotrzeć tam, gdzie zamierzali. Dobrze, że znali skróty przez podwórka, skwery i fabryczne place.

Przy parku Źródliśka oczywiście rosła barykada i to dużo porządniejsza niż te w Śródmieściu. A dziadek już tam był i, kuśtykając o kulach, dowodził pracą.

– Musi być zbudowana w formie trójkąta na skrzyżowaniu ulic, tak by umożliwiała wygodne ostrzeliwanie atakujących – mówił, rysując końcem laski plan na ziemi.

W budowie brało udział mnóstwo mężczyzn i chłopców. Całe mrowie. Jakby wszyscy wyszli na ulicę, by wyrwać bruk i kopać rowy. Szańce z wysokimi nasypami powstawały błyskawicznie i już na pierwszy rzut oka widać było, że będą doskonałą osłoną dla obrońców.

– Gdzie cię tak długo diabli nosili? – spytał dziadek, ale Alek machnął tylko ręką w kierunku Śródmieścia i z nowym kolegą przyłączyli się do pracy.

– Wyloty barykady muszą znajdować się w bramach domów, żeby w razie przewagi wroga można się było wycofać i przedostać na sąsiednie podwórza – dyrygował dziadek. – A w okolicznych domach trzeba zorganizować służbę sanitarną.

Kobiety znosiły prześcieradła i decydowały, gdzie będzie się lokować rannych, jeśli tacy oczywiście będą.

Tymczasem z poszczególnych dzielnic docierały wieści:

– Na Wschodniej zaatakowano kompanię piechoty.

– Na Widzewie już trzykrotnie odparto atak Kozaków.

– My też damy radę – cieszył się Alek, bo barykada wyglądała imponująco. Nie była stosem rupieci, ale prawdziwą zaporą.

W poprzek ulicy chłopcy przeciągnęli druty, by powstrzymać pierwszy atak kawalerii. Kamienie wyrwane z jezdni i płyty chodnikowe wnosili na dachy kamienic. Wypełnione nimi balie i beczki ustawili na samej krawędzi.

– Nie za blisko, żeby nie spadło – ostrzegał Alek. – Przynajmniej nie teraz.

Potem, w oczekiwaniu na atak, ludzie poznosili ostatnie kartofle, ostatnie kawałki chleba i jedli je wspólnie, siedząc w cieniu barykady. Żuli powoli, żeby na dłużej starczyło. Chłopcy grali w klipę. To ulubiona gra łódzkich dzieci. Każde nosiło w kieszeni drewnianą długości dłoni, zastrzoną z obu końców, z cyframi wyciętymi na czterech podłużnych bokach. Drugi niezbędny przedmiot do gry to cienka deseczka. Mając jedno i drugie wystarczyło narysować na ziemi kwadrat zwany kojta i można było zaczynać.

– Nie znam zasad tej gry – mruknął gimnazjalista.

– Nigdy nie grałeś w palanta? – zdziwił się Alek.

Gotów był mu wszystko objaśnić, ale w tym momencie rozległo się wołanie z dachów:

– Idą! Idą! Na barykadę!

– Później zagramy – zdecydowali chłopcy. – Teraz będziemy walczyć o wolność.

– I o sprawę robotniczą – dopowiedział ktoś.

Odpowiedziały im bojowe okrzyki. Nie trzeba było nikogo przekonywać do walki. Wszyscy tak samo odczuwali jej potrzebę.

– Innej drogi nie ma – przytaknął dziadek, wymachując drewnianą kulą.